



**NIE**

**OD PIERWSZEGO**

**WEJRZENIA**



**MEGHAN QUINN**



# LOTTIE

– Cześć, skarbie!

Hmm. Nie podoba mi się ta słodycz w jej głosie.

Ten uśmieszek błąkający się na jej wargach.

Oraz duszący, toksyczny zapach perfum, którymi się obficie spryskała.

– Hej, Angela – odpowiadam z ostrożnym niepokojem, siadając przy stole w jej gabinecie. Jednym ręcznym ruchem zarzuca blond włosy na plecy i składa dłonie. Gdy pochyla się w moją stronę, mowa jej ciała wyraża zainteresowanie.

– Co u ciebie? – pyta.

Wyglądam jaskrawoczerwoną ołówkową spódnicę i odpowiadam:

– Wszystko dobrze, dziękuję.

– To cudownie. – Prostuje się i obdarza mnie uśmiechem, ale nic więcej nie dodaje.

No dobra, co tu się, do diabła, dzieje?

Zerkam przez ramię na rząd facetów w garniturach, którzy siedzą wyprostowani jak struny z teczkami na kolanach i przypatrują się naszej rozmowie. Znam Angelę od gimnazjum. Łączy nas przerywana przyjaźń, a ja zostałam ofiarą tej znajomościowej arytmii. Jednego dnia jestem jej najlepszą psiapsi, kolejnego moje miejsce zajmuje Blair z działu finansów albo Lauren z działu sprzedaży, by następnego znów trafiło na mnie. Ciągłe zmiany, trudno się

połapać, kto zostanie najlepszą przyjaciółką w danym tygodniu. Wiecznie mnie to dręczy i niemal dostaję czkawki z ekstazy, kiedy los wręcza mi szczęśliwą kartę „dzisiejszej powiernicy Angeli”.

Zapytacie, po co w takim razie tkwię w tak toksycznej relacji?

Są trzy powody.

Po pierwsze, kiedy poznałam Angelę, byłam młodzieńką dziewczyną i nie miałam pojęcia, co robić podczas szalonej jazdy rollercoasterem. Chwytałam się więc kurczowo poręczy i modliłam się, żeby przeżyć. Życie z Angelą okazało się bowiem ekscytujące. Inne. Wręcz zuchwałe.

Po drugie, kiedy Angela była dla mnie miła, kiedy zaszczyciała mnie swoją przyjaźnią – czułam się przeszcześnie. Dorastanie w Beverly Hills w biednej rodzinie nie obfitowało w przygody, jednak bogata przyjaciółka, która nie zważając na twój pusty portfel, wprowadza cię do swojego świata – to było coś. Możecie uznać mnie za pustaka, ale w szkole średniej świetnie się bawiłam, mimo wzlotów i upadków naszej przyjaźni.

Po trzecie – jestem słaba. Za wszelką cenę unikam konfrontacji. Jestem jak ludzka wycieraczka, nie krępujcie się, wycierajcie we mnie brudne buciory.

– Angela? – pytam szeptem.

– Hmmm? – Uśmiecha się do mnie.

– Czy mogę zapytać, dlaczego wezwałaś mnie do siebie i dlaczego za moimi plecami stoi rząd facetów wyglądających jak agenci FBI?

Angela odchyła głowę do tyłu i wybucha serdecznym śmiechem. Jej dłoń łąduje na mojej.

– Och, Lottie. Będzie mi brakowało twojego poczucia humoru.

– Brakowało? – Cała sztywnieję. – Co masz na myśli, mówiąc, że będzie ci go „brakowało”? Wybierasz się na urlop?

*Blagam, niech o to chodzi. Blagam.* Nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy.

– Tak.

*Dzięki Bogu!*

– Lecimy z Kenem na Bora-Bora. Za dziesięć minut mam umówioną sztuczną opaleniznę. Dlatego musimy szybko się z tym uporać.

Że jak?

– Z czym się musimy uporać? – pytam.

Rozradowana twarz Angeli staje się nagle poważna, a to rzadki widok. Ponieważ, owszem, Angela może i jest szefową swojego bloga o stylu życia, ale to nie ona wykonuje całą robotę – ma od tego sztab ludzi. Dlatego nie musi nigdy być poważna.

Teraz się prostuje i spogląda na mnie spod gęstych sztucznych rzęs.

– Lottie, jesteś prawdziwą pionierką w Angelloop. Nie masz sobie równych w naszej firmie w mistrzowskim operowaniu klawiaturą, a humor, który wnosisz do naszego jakże świetnie prosperującego i zarabiającego krocie bloga, pozwolił mi na urzeczywistnienie wymarzonej wyprawy na Bora-Bora.

Czy ja dobrze słyszę? To dzięki mnie może wyjechać na wakacje?

– Niestety, musimy cię pożegnać.

Ale... co?

Pożegnać?

Znaczy, koniec pracy?

Czterech facetów stojących z tyłu nagle – z szybkością światła – znajduje się tuż obok, otaczając mnie z obu stron niczym goryle celebrytę. Ich barczyste sylwetki nie pozwalają mi się ruszyć. Jeden z nich rzuca teczkę na znajdujący się przed nami stół. Otwiera ją, a moim oczom ukazuje się jakaś kartka. Jestem zbyt oszołomiona, żeby nawet rozważyć czytanie, ale mogę się domyślić, co to jest: rozwiązanie umowy.

– Tu podpisz. – Mężczyzna podaje mi długopis.

– Chwila. Co to ma być? – Odsuwam rękę faceta, która natychmiast wraca na miejsce. – Wyrzucasz mnie z pracy?

Angela się krzywi.

– Lottie, proszę cię, nie rób scen. Na pewno rozumiesz, jakie to dla mnie trudne. – Strzela palcami i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w pomieszczeniu zjawia się jej asystentka. Angela pociera szyję. – Ta rozmowa mnie wyczerpała. Poproszę o wodę. W temperaturze pokojowej, z cytryną i limonką, ale proszę je wyjąć przed podaniem. – Asystentka znika, Angela odwraca się i na mój widok łapie się za serce. – Och. Nadal tu jesteś!

No nie...

Mrugam kilkakrotnie, po czym decyduję się dopytać.

– Angela? O co chodzi? Przecież przed chwilą powiedziałaś, że zarabiam dla ciebie kupę forsy...

– Poważnie? Nie przypominam sobie, żebym powiedziała coś podobnego. Panowie, czy mówiłam, że ona zarabia dla nas pieniądze?

Mężczyźni kręcą głowami.

– Widzisz? Nie mówiłam.

Myszę, myślę... Czujecie ten zapach? To mój mózg się przegrzewa, próbując ogarnąć to wszystko i NIE ZWARIOWAĆ!

Pytam spokojnie, oczywiście, że bardzo spokojnie:

– Angela, czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego mnie wyrzucasz?

– Och. – Śmieje się. – Zawsze byłaś taka ciekawska. – Asystentka przynosi jej wodę i szybko ucieka. Angela upija łyk przez niepotrzebną słomkę i ciągnie dalej: – W piątek mija rok.

– Zgadza się – mówię.

– Zgodnie z twoją umową po upływie roku przestaje cię obejmować staż i powinnaś zacząć otrzymywać właściwą pensję. – Angela wzrusza ramionami. – Po co mam płacić ci więcej, skoro mogę znaleźć kogoś, kto wykona twoją robotę za mniej? To podstawowa zasada, na pewno ją rozumiesz.

– Nie, nie rozumiem. – Podnoszę głos, a wtedy dwie wielkie dłonie lądują mi na ramionach w geście ostrzeżenia.

A niech to diabli!

– Angela, tu chodzi o moje życie, to nie jest jakaś gierka, w którą możesz sobie pogrywać. Kiedy błagałaś mnie, żebym dla ciebie pracowała, obiecałaś, że ta praca zmieni moje życie.

– I co, nie zmieniła? – Angela rozpościera ręce. – Angeloop zmienia życie wszystkich. – To mówiąc, zerka na zegarek. – Za pięć minut muszę być rozebrana. Opalenizna nie może czekać. – Kiwa palcem na stojących za mną facetów. – Panowie, kończymy sprawę.

Dwie pary rąk chwytają mnie za łokcie i podnoszą z krzesła.

– Chyba sobie żartujesz – mówię. Nie dociera jeszcze do mnie to, co się właśnie dzieje. – Twój ochroniarze wywał mnie z gabinetu?

– Nie z mojego wyboru – odpowiada Angela, uosobienie niewinności. – Ale twoje wrogie nastawienie zaburza moje poczucie bezpieczeństwa.

– Wrogie nastawienie? – powtarzam. – Mam się cieszyć, że wyrzucasz mnie z pracy bez powodu?

– Skarbie, nie wierzę, że postrzegasz to w taki sposób – odpowiada tym swoim protekcyjnym tonem. – To nic osobistego, dobrze wiesz, że nadal cię Kocham i planuję nasze comiesięczne spotkania na późne śniadania. To tylko biznes – dodaje i przesyła mi buziaka. – W dalszym ciągu jesteś moją psiapsi.

Chyba postradala rozum.

Ochroniarze ciągną mnie w stronę drzwi, ale zapieram się obcasami moich szpilek Jimmy Choo sprzed dwóch sezonów.

– Angela, bez przesady. Przecież nie możesz mnie wyrzucić.

Patrzy na mnie, przechylając głowę na bok, i przyciska dłoń do serca.

– Ach, jak walczysz o swoją posadę. Zawsze byłaś taka zbuntowana. – Przesyła mi kolejnego buziaka, macha ręką i rzuca na odchodne: – Zadzwonię do ciebie kiedyś i wtedy opowiesz mi o swojej okropnej szefowej. Ach... I nie zapomnij wysłać odpowiedzi na zaproszenie na zjazd licealny. To już za dwa miesiące, musimy wiedzieć, ile osób się zjawi.

Poczucie klęski osłabia mnie tak bardzo, że nogi się pode mną uginają, ciało staje się bezwładne, a ochroniarze wywlekają mnie z biura Angelloop – najbardziej idiotycznego i absurdalnego w całym internecie bloga o stylu życia – miejsca, w którym tak naprawdę nigdy nie chciałam pracować.

Współpracownicy gapią się na mnie w milczeniu.

Ochroniarze nawet nie przystają, tylko ciągną mnie do przeszklonych drzwi frontowych.

Zanim się obejrzę, stoję za zewnątrz pod nieprzyzwoicie wielkim logo firmy, z pudełkiem moich rzeczy w ręku.

I kompletnie nie rozumiem, jak do tego doszło.

## HUXLEY

– Kurwa, za chwilę kogoś zamorduję! – krzyczę, ciskając marynarką przez środek mojego gabinetu, i zamykam drzwi z trzaskiem.

– Zgaduję, że spotkanie się udało – odzywa się JP, który opiera się o wielką ścianę z oknami od podłogi do sufitu.

– Zgaduję, że spotkanie udało się wyśmienicie – dopowiada Breaker, który leży na skórzanej sofie.

Ignoruję ich sarkastyczne komentarze, wplatom palce we włosy i odwracam się w kierunku panoramy Los Angeles. Dzisiaj jest pogodny dzień, a deszcz, który spadł w nocy, oczyścił nieco powietrze ze smogu. Wzdłuż ulic rosną wysokie palmy, jednak w porównaniu z moim biurowcem wydają się miniaturowe.

– Masz ochotę o tym porozmawiać? – pyta JP, siadając.

Odwracam się do tych dwóch idiotów, moich braci, którzy stoją za mną murem bez względu na okoliczności. Którzy są ze mną na dobre i na złe. Którzy rzucili wszystko i dołączyli do mnie w szalonym przedsięwzięciu, jakim było przejęcie rynku nieruchomości w LA dzięki pieniądзом, które zostawił nam po śmierci ojciec. Wspólnie zbudowaliśmy to imperium.

Jednak widząc przymilne uśmiešky na gębach braci, mam ochotę wywalić ich z gabinetu.

– A wyglądam, jakbym chciał? – rzucam.

– Nie. – Breaker uśmiecha się kąpiąco. – Ale my chcemy usłyszeć, co się wydarzyło.



Oczywiście.

W końcu to oni nalegali, żebym się nie spotykał z Dave'em Toneyem.

To oni twierdzili, że spotkanie będzie stratą czasu.

To oni wyśmiali mnie, gdy oznajmiłem, że spotkanie odbędzie się dzisiaj.

A gdy na nie wychodziłem, sarkastycznie życzyli mi powodzenia.

Bardzo chciałem pokazać, że się mylą.

Chciałem udowodnić, że jestem w stanie przekonać Dave'a Toneya do współpracy z Cane Enterprises.

Uwaga, spoiler: nie udało mi się go przekonać.

Kapituluję pod naciskiem spojrzeń moich braci, siadam i wzdycham przeciągle.

– Kurwa – mamroczę pod nosem.

– Niech zgadnę: nie uległ twojemu naturalnemu wdziękowi? – pyta Breaker. – A przecież jesteś taki sympatyczny.

– To w ogóle nie powinno mieć żadnego znaczenia. – Wbijam palec w miękki podłokietnik skórzanego fotela. – To biznes, a nie cholerna parada przyjaciół, którzy sobie wzajemnie dogadują.

– Chyba coś mu umknęło na studiach z zarządzania – zwraca się JP do Breakera. – Mieliśmy cały rok zajęć z relacji biznesowych, czyż nie? – Jego ironiczny ton drażni moje napięte nerwy.

– Tak mi się wydaje – odpowiada Breaker.

– Praktycznie całowałem go w dupę, czego jeszcze mógł chcieć?

– A miałaś szminkę na ustach? Bo nie wiem, czy jego dziewczyna dobrze przyjmie cudzą pomadkę na pośladkach swojego faceta. – Breaker znów uśmiecha się głupkowato.

– Nienawidzę was, gnojki.

Breaker wybucha śmiechem.

– Nie chcę nic mówić, ale... *mówiliśmy!* – odzywa się JP. – Dave Toney nie pracuje z byle kim. To zupełnie inna rasa ludzi. Wielu próbowało wdrzeć się do przepastnego świata nieruchomości, którymi dysponuje, i wielu poniosło sromotną klęskę. Dlaczego uznałeś, że z tobą będzie inaczej?

– Ponieważ jesteśmy Cane Enterprises! – krzyczę. – I, kurwa, wszyscy chcą z nami współpracować! Mamy najlepsze portfolio

na rynku obrotu nieruchomościami w Los Angeles i w ciągu roku możemy zamienić ruinę w biznes przynoszący milionowy zysk! Znamy się na tym, co robimy, a Dave Toney, chociaż odnosi sukces za sukcesem, ma parę niesprzedawalnych parceli, które przynoszą mu straty. I, kuźwa, dobrze wie, że jestem gotów pozbawić go tego balastu.

JP podpira brodę na dłoni.

– A co konkretnie mu powiedziałeś? Mam nadzieję, że nie to, co przed chwilą nam wykrzyczałeś? Bo chociaż od twojej przemowy stwardniały mi sutki, to jednak wątpię, by Dave docenił ton twojego głosu.

Przewracam oczami.

– Powiedziałem coś w ten deseń.

– Zdajesz sobie sprawę, że Dave Toney to dumny facet, prawda? – wtrąca Breaker. – Jeśli go obrazisz, nie będzie chciał z tobą pracować.

– Nie obrażem go! – wrzeszczę. – Próbowałem porozumieć się z nim na tej samej płaszczyźnie, no wiecie, pokazać mu, że też jestem całkiem normalnym gościem.

Moi bracia prychną.

– *Jestem* normalnym gościem.

JP i Breaker spoglądają na siebie, po czym obaj pochylają się do przodu, a ja już wiem, co będzie dalej: klasyczny moment prawdy. Uwielbiają od czasu do czasu mi go zapodać.

– Wiesz, że cię kochamy, prawda? – pyta Breaker.

Zaczyna się.

– I jesteśmy dla ciebie zawsze, gdy tylko nas potrzebujesz – dodaje JP.

Przecieram twarz dłonią.

– No dalej, wyrzucie to z siebie i kończymy – mówię.

– Ale nie jesteś normalny. Wręcz przeciwnie. Jak my wszyscy zresztą. Mieszkamy w Beverly Hills i wiecznie zapraszają nas na rozmaite premiery i spotkania celebrytów. Wielokrotnie pisały o nas portale plotkarskie. Widzisz w tym cokolwiek normalnego? Bo ja nie. Za to Dave Toney? On jest normalny.

– Niby dlaczego? Bo go nie zapraszają na afterparty z celebrytami?

Breaker kręci głową.

– Nie. Ponieważ jest rzeczowy i praktyczny. Dostępny. Bez problemu można wypić z nim piwo przy barze i nie czuć przy tym onieśmienia. Ty natomiast jesteś jego przeciwieństwem. Ostentacyjnie rzucasz się w oczy.

– Nieprawda.

JP kiwa głową w stronę swojego zegarka.

– Ładny Movado. Nowy?

Zerkam na nadgarstek.

– Kupilem w zeszłym tygodniu – wyjaśniam, a gdy podnoszę wzrok, napotykam porozumiewawcze spojrzenia moich braci. – Nie wolno mi wydawać ciężko zarobionych pieniędzy?

– Wolno – odpowiada PJ. – Twój styl życia jest w pełni zasłużony. Dom, samochód... zegarek... Ale jeśli chcesz nawiązać porozumieniem z Dave'em Toneyem, musisz zejść na inny poziom. I nie chodzi mi o to, że masz udawać skromnego gościa, bo on od razu to wyczuje. Wie, że jesteś ostentacyjny. Powinien jednak zobaczyć cię w innym świetle.

– Oooo, właśnie – wtrąca Breaker. – Inne światło. Tego mu trzeba. – Stuka palcem w brodę. – Tylko co to miałyby oznaczać?

Poirytowany wstaję z krzesła i zbieram ciśniętą na podłogę marynarkę.

– Zostawiam was, kretyni, z tym problemem, a sam idę kupić coś do jedzenia.

– Ach, gdyby tylko Toney mógł zobaczyć, jak Huxley Cane, zamiast poprosić swoją asystentkę, żeby przyniosła mu lunch, niczym prosty chłop rusza ulicami Los Angeles w poszukiwaniu pożywienia – odzywa się JP.

Wkładam marynarkę, chociaż na zewnątrz jest gorąco, po czym, ignorując moich braci, wychodzę.

– Przyniesiesz nam coś? – woła za mną Breaker.

Wzdycham.

– Napiszcie, co chcecie – rzucam przez ramię.

– Ogórki konserwowe! Ile się da! – wrzeszczy JP, kiedy stoję przed windą. Na szczęście drzwi się od razu otwierają, więc wchodzę do środka, wciskam przycisk parteru i opieram się o ścianę, z rękoma w kieszeniach spodni.

„Mam zejść na inny poziom”. Żebym chociaż wiedział, co to oznacza. Wiem tylko, że jestem biznesmenem i robię interesy zarówno z ludźmi, z którymi dobrze się dogaduję, jak i z tymi, którymi pogardzam. W przeciwieństwie do Dave’a Toneya mam w dupie, kto kupuje ode mnie nieruchomości albo komu płacę moimi pieniędzmi. Biznes to biznes, nie ma tu miejsca na sentymenty.

Dzisiaj dałem Dave’owi zającistą ofertę, szczerze mówiąc, lepszą niż to, na co zasługuje. A on, zamiast uścisnąć mi dłoń i przyjąć propozycję, rozsiadł się wygodnie na swoim krześle, podrapał po policzku i powiedział: „No nie wiem, muszę się z tym przespać”.

Prześpij się, do diabła.

Prześpij się z moją propozycją.

Chociaż nikt inny tego nie robi. Przyjmują oferty z wdzięcznością i niemal całują mnie po rękach za to, że mogli ubić interes z Cane Enterprises.

Przeciskam się przez rozsuwające się drzwi windy, meandruję pomiędzy ludźmi w zatłoczonym holu i wreszcie wychodzę na zewnątrz. Kieruję się ku małym, dość obskurnym delikatesom, które znajdują się dwie ulice dalej. Zwykle nie posyłam mojej asystentki Karli po jedzenie, bo wbrew temu, co ludzie mogą sobie o mnie myśleć, czułbym się wtedy jak dupek. Poza tym lubię przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem – oczywiście, mieszkamy w Los Angeles, więc „świeże powietrze” to oksymoron. Tak czy inaczej, taki spacer to dla mnie reset przed powrotem do biurka, przy którym zarządzam milionowymi operacjami finansowymi.

Komórka wibruje mi w kieszeni, ale nawet jej nie wyciągam. Dobrze wiem, że to zamówienie od moich braci. Nie mam pojęcia, po co kazalem im do mnie napisać, przecież zawsze kupują to, co ja. Zawsze to samo. Kanapkę Philly cheesesteak\* z dodatkowymi grzybami. No i oczywiście ogórki konserwowe. To nasza sztandarowa potrawa. Nie jemy jej zbyt często, ale jeśli któryś z nas idzie do delikatesów, niczego innego nie kupuje.

Chodnik jest bardziej zatłoczony niż zwykle. Lato zawitało już do miasta, a to oznacza napływ turystów. Mnóstwo autobusów

---

\* Klasyczna kanapka rodem z Filadelfii: stek wołowy z serem i cebulą w bułce, niekiedy z dodatkiem warzyw lub grzybów [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

wycieczkowych z ludźmi wypatrującymi celebrytów. Jazda sto je-dynką za chwilę przerodzi się w koszmar. Na szczęście mieszkam zaledwie pół godziny drogi od biura.

Gdy zbliżam się do delikatesów, pod drzwi podjeżdża znajomo wyglądający czarny SUV. Otwierają się drzwi, ze środka wylania się Dave Toney. O wilku mowa, kto by pomyślał!

Los najwyraźniej mi sprzyja. Nie ma jak wzmocnienie przeka-zu po negocjacjach. Być może JP miał rację i Dave Toney zmienił zdanie, gdy zobaczy, jak kupuję kanapki. W końcu to na pewno jest zejściem na inny poziom.

Zapinam guziki marynarki i przyspieszam kroku. W biznesie nigdy nie należy marnować dobrych okazji. To niedopuszczalne. Gdy podchodzę bliżej, zupełnie zbija mnie z tropu widok damskiej ręki wysuwającej się z samochodu w ślad za Dave'em. Zwalniam i wbijam wzrok w dłoń. Na drobnym palcu znajduje się BARDZO duży pierścionek zaręczynowy.

Jasna dupa, Dave jest zaręczony?

Zakładam, że tak, skoro chytyła tę dziewczynę za rękę.

Ale że zaręczony? Jak mogło mi to umknąć?

Zwykle zwracam uwagę na takie...

Moje myśli zatrzymują się w miejscu, a ja mrugam kilkakrot-nie, narzeczona bowiem odwraca się i ukazuje mi się z profilu. O ja... piernicę...

Najwyraźniej zaręczyny nie są największą niespodzianką.

Dzięki obcisłej sukience i szczupłej sylwetce dziewczyny nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że narzeczona Dave'a To-neya jest w ciąży.

Dave się zaręczył i spodziewa się dziecka? Jakim cudem... Kiedy to się stało?

Pokazuje coś gestem kierowcy, zamyka drzwi, po czym zerka do tyłu i mnie zauważa. Unosi brwi ze zdumienia, odwraca się całkowicie i macha do mnie.

– Cane! Nie spodziewałem się zobaczyć cię spacerującego po ulicy.

Żaden z nas nie spodziewał się tego spotkania, ale nie po-zwolę, żeby wstrząs wywołany nieoczekiwanym obrotem zdarzeń wytrącił mnie z równowagi.

Czas na przedstawienie.

Przyklejam uśmiech do twarzy.

– Napawam się palącym kalifornijskim słońcem, idąc po lunch dla mnie i moich braci. – Podchodzę i wyciągam rękę. Dave ściska ją przelotnie. – To nasze ulubione delikatesy – oznajmiam.

– Poważnie? – pyta zaskoczony. – Ellie też tak uważa. Ja nigdy w nich nie byłem, ale ona twierdzi, że mają tu najlepsze ogórki konserwowe.

– Moi bracia daliby się za nie pokroić. – Wyciągam rękę do jego narzeczonej. – Ty zapewne jesteś Ellie.

– Kurczę, co za gbur ze mnie. – Dave śmieje się nerwowo. – Tak, to Ellie. Ellie, to Huxley Cane.

– Miło mi cię poznać – odpowiada Ellie uroczym południowym akcentem, który już wcześniej słyszałem.

Podaję jej rękę i mówię:

– Niech zgadnę, jesteś z Georgii?

Uśmiecha się szerzej.

– Tak. Skąd wiesz?

Yeeees! To moja szansa.

– Moja babcia pochodzi z Georgii. Spędziłem wiele okrutnie gorących i wilgotnych miesięcy letnich, bujając się na fotelu na werandzie, podczas gdy ona zasypywała mnie najnowszymi plotkami z miasta.

– Naprawdę? Skąd pochodzi?

– Peachtree City.

Dziewczyna otwiera szeroko oczy i przyciska dłoń do serca.

– Wychowałam się tuż obok, w Fayetteville. Ale ten świat jest mały.

Jeszcze jak. Zwłaszcza że moja babcia mieszka w San Diego, a moja noga w życiu nie postąpiła w Georgii. Ale oni nie muszą tego wiedzieć. Tak samo jak nie muszą wiedzieć, że poznałem jej akcent, ponieważ na studiach chodziłem z dziewczyną z Peachtree City. Ot, semantyka.

Uradowany, że udało mi się nawiązać relację ze światem Dave'a, odwracam się w jego stronę i widzę faceta broniącego swojego terytorium. Zaciśnięte zęby, zmarszczone czoło, zero radości w oczach, które najwyraźniej nie znajdują niczego wesołego w naszym małym świecie. Ulala.

Gość niemalże znaczy swoje terytorium wściekłą miną. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle zaczął okrążać Ellie i ją obsikiwać.

Zważywszy na to, co o mnie wie, ostentacyjnym flirciarzu, bohaterze artykułów z plotkarskich stron – na szczęście nie ostatnimi czasy – musi uważać mnie za zagrożenie. Którym nie jestem. To znaczy, owszem, Ellie to drobna niebieskooka blondynka, ale tak się składa, że jest w ciąży, a to koszmar. Poza tym jest zaręczona, co wyklucza ją z rynku potencjalnych kandydatek.

Przypominam sobie, co powiedzieli moi bracia, i dochodzę do wniosku, że Dave zapewne ma inne wyobrażenie na ten temat.

Co oznacza, że muszę ratować sytuację, i to szybko. Tylko jak?

Jak mógłbym...

„Żarówka nad głową”.

Zauważyliście ten oślepiający błysk? To pomysł, który przyszedł mi do głowy. Nie jest może zbyt genialny, a już na pewno nie należy do najbardziej błyskotliwych pomysłów, na jakie wpadłem, jednak Dave wydaje się coraz bardziej spięty, więc...

Jedziemy.

Oby tylko moje słowa nie obróciły się przeciwko mnie.

– Fayetteville? Hmm. – Zwilżam usta. – Zabawne. Wydaje mi się, że rodzice mojej narzeczonej pochodzą z Palmetto. To chyba w okolicy, prawda?

Wiem, naręczona. Haha. Mówiłem, że to nie będzie błyskotliwe zagranie, ale tylko na tyle mnie stać.

– Zgadza się. Palmetto leży na północy, bardzo blisko Fayetteville. – W głosie Ellie słychać taką radość, że Dave od razu obejmuje ją protekcyjnie w pasie.

– Naręczona? – pyta, odchrząkując. – Jesteś zaręczony, Cane? – W jego oczach widzę autentyczne zainteresowanie, z jego ramion znika powoli napięcie.

– Taaa.

– Hmm. Jestem zaskoczony.

Nie potrafię niczego wyczytać z jego twarzy. Czy poddaje mnie próbie? Czy tylko pogarszam sprawę? Mam nadzieję, że nie. Nie chciałbym stracić szansy na sfinalizowanie tej umowy.

Nie pozwolę, żeby przeciekła mi przez palce – jestem już tak blisko! Mam na wyciągnięcie ręki nieruchomości, które znacząco

ubarwiłyby nasze portfolio, zwłaszcza po realizacji tego, co sobie zaplanowaliśmy na ich miejscu. Ponadto dobiecie targu z takim trudnym partnerem jak Dave Toney dałoby mi poczucie zwycięstwa. Bierze nade mną górę mój instynkt biznesowy, a tym samym zdrowy rozsądek chowa się gdzieś w kącie.

Zanim więc zmienię zdanie, przełykam ciężko ślinę i mówię to, co mam na końcu języka:

– Taaa. Zaręczony i... spodziewamy się dziecka.

Ledwo kłamstwo wydostaje się na świat, zaczynam czuć się jak idiota. Kurczę, tyle kobiet ma problemy z zajściem w ciążę, a ja kłamię jak z nut w tej kwestii... To niepoważne. Ale, jak już nadmienilem, zdrowy rozsądek chwilowo gdzieś zniknął, został mi wyłącznie debilny instynkt.

– Poważnie? – Ellie się rozpromienia. – O matko! – Głodzi się po brzuchu. – My też! Dave, czy to nie cudowne?

– Absolutnie. – Mina Dave'a przechodzi od niepewności opiekuńczego partnera do... czegoś, co jest dla mnie zupełnie nowe. Czego nigdy u niego nie widziałem. To współczucie. Zrozumienie.

Czy mogę nazwać to „braterstwem”?

Wsuwam dłonie w kieszenie spodni, żeby nie zapłatać ich nerwowo, gdy będę brnął w największe kłamstwo mojego życia.

– Moja babcia nas ze sobą poznała w Peachtree. To było jedno z tych romantycznych spotkań, kiedy amor strzela prosto w serce.

– Och, uwielbiam takie spotkania! – Ellie aż składa ręce.

Wzruszam ramionami.

– Dalej poszło bardzo szybko. – Unoszę wzrok ku niebu, myśląc o mojej wymagowanej ciężarnej narzeczonej i o tym, jak bardzo ją „kocham”. – Co prawda trochę w odwrotnej kolejności, bo zaczęliśmy od ciąży, ale w sumie od początku nie robiliśmy niczego tak, jak oczekiwaloby tego społeczeństwo.

– My też – odpowiada Dave i widzę w jego oczach uznanie. O tym właśnie mówili moi bracia: tego potrzebował Dave, by zobaczyć moją „ludzką” stronę.

Udało mi się zejść na inny poziom i nawiązać nić porozumienia. Dave przestał widzieć we mnie bogatego biznesmena, który nie bierze jeńców, a zobaczył kogoś, z kim można iść na piwo i pogadać o stresie wywołanym niespodziewaną ciążą partnerki.



Może takiego właśnie poziomu było mi potrzeba. Niezobowiązującej rozmowy, wyszukanego kłamstwa, które nikomu nie robi krzywdy. Przecież Dave nie musi poznawać mojej „dziewczyny”. Nie musi wiedzieć o niej niczego więcej. Sama idea, że ktoś taki istnieje u mojego boku, stawia mnie w korzystniejszym świetle.

Hmm, może to jednak nie był wcale taki głupi pomysł.

Może to przykład absolutnej doskonałości mojego umysłu.

Nie zdziwiłbym się, gdyby jutro do mnie zadzwonił, już bez tekstów w rodzaju „muszę się z tym przespać”, ale z konkretną propozycją.

*Huxleyu Canie, jesteś geniuszem!*

– Dave, czy nie byłoby cudownie, gdyby Huxley i jego narzeczona wpadli do nas na kolację?

Że co?

Na kolację?

Ellie składa dłonie jak do modlitwy i ciągnie dalej:

– Fantastycznie byłoby porozmawiać z ludźmi, którzy są w dokładnie takiej samej sytuacji jak my. – Po czym przysuwa się i dodaje ciszej: – Nasza rodzina nie jest zbyt szczęśliwa z faktu, że chcemy wziąć ślub dopiero po narodzinach dziecka. Moi rodzice są tradycjonalistami.

Pot występuje mi na czoło, ale próbuję zachować kamienną twarz.

Proszona kolacja.

Z moją „narzeczoną”.

O kurwa.

*Uciekaj, Cane. Uciekaj!*

– Byłoby cudownie! – odpowiada Dave i uśmiecha się szeroko.

O ja pierdziele.

– Co powiesz na sobotę wieczór?

Sobota wieczór?

O matko.

To za cztery dni.

Cztery cholerne dni na znalezienie nie tylko narzeczonej, ale w dodatku narzeczonej w ciąży!

*Huxleyu Canie, nie jesteś geniuszem, ale debilem.*

– Daj mu trochę czasu, niech omówi to ze swoją dziewczyną – wtrąca Ellie. Powiedziałbym: „Dzięki Bogu”, ale to przecież ona wyszła z pomysłem kolacji. – Zadzwoń, proszę, do Dave’a – zwraca się do mnie – i daj mu odpowiedź. Uwielbiam gotować. Jeśli macie ochotę, mogę przygotować prawdziwie południowe menu.

Mój umysł już formułuje wymówki, dlaczego moja narzeczona i ja nie damy rady przyjść w sobotę, ale wtedy odzywa się Dave.

– I może wrócimy wtedy do rozmowy o transakcji – mówi, uśmiechając się szczerze.

Kurwa.

A niech to.

Teraz nie mogę odmówić. Nie mogę stawiać na szali transakcji.

Chryste!

W ustach i gardle mam pustynię, ale przełykam ciężko ślinę i kiwam głową.

– Pewnie – charczę. – Sobota brzmi świetnie.

– Wspaniale! – Ellie klaszcze w dłonie. – Już się nie mogę doczekać. Zrobię brzoskwinie pod pierzynką i przygotuję zielone warzywa liściaste. Dave wszystko z tobą ustali.

– Idealnie – odpowiadam, uśmiechając się słabo. W co ja się wpakowałem?

– Skarbie, zaraz się spóźnimy. Wejdziemy do delikatesów po zajęciach, dobrze? – pyta Dave.

– Pod warunkiem że dostanę podwójną porcję ogórków konserwowych – mówi Ellie i całuje Dave’a w usta.

W żołądku mi się przewraca na widok ich czułości. Nie żeby publiczne okazywanie sobie uczuć budziło mój wstręt – po prostu przypomina mi to, w jakim bagnie się znalazłem.

– To my pędzimy na zajęcia z techniki Lamaze’a. Pogadamy wkrótce – mówi Dave i macha na pożegnanie.

Odmachuję z nadzieją, że ręka mi się nie trzęsie, po czym rezygnuję z wejścia do sklepu. Odwracam się na pięcie i ruszam z powrotem do biura. Myśli kotłują mi się w głowie.

*Huxleyu Canie, jesteś skończonym kretynem!*

Polub nas  
na Facebooku



**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl

Bestseller „USA Today”

## MIĘDZY MIŁOŚCIĄ A NIENAWIŚCIĄ JEST BARDZO CIENKA GRANICA



Lottie zostaje zwolniona z pracy – i to przez najlepszą przyjaciółkę! Rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, aby spłacić kredyt i wreszcie wyprowadzić się na swoje. Przyszłość rysuje się w czarnych barwach. Na domiar złego coraz bliżej zjazd klasowy, na którym warto byłoby się pochwalić atrakcyjnym partnerem. Wtedy w życiu Lottie pojawia się przystojny Huxley Cane, który ma dla niej szokującą propozycję. Lottie i Huxley zawierają nietypowy pakt...

**Niech Was nie zwiedzie urocza okładka.  
Ta książka to prawdziwy emocjonalny rollercoaster!**



bukowylas.pl

Polub nas na  
Facebooku



Cena: 44,90 zł  
(w tym VAT)